

# MAGAZYN i PRACOWNIA KONFEKCYI DAMSKICH LEONA GRABOWSKIEGO



w Krakowie, Plac Maryacki l. 9 róg Rynku głównego  
(WŁAŚCICIEL FIRMY GABRYEL GRABOWSKI)

poleca SUKNIE fracuskie, KOSTYUMY angielskie, ŻAKIETY, BLUZKI, HALKI, SPODNICE,  
Kostiumy płócienne i Boa, Materyały, Jedwabie i konfekcyę żałobną.

**Własna pracownia.**

Wykończenie zamówionych sukien szybkie i artystyczne, według żurnali angielskich i francuskich.



## WIEDENSKI BANK ZWIĄZKOWY - FILIA W KRAKOWIE

Kapitał akcyjny 130 milionów koron.

Kraków. Rynek główny, Linia A-B 44.

Fundusze rezerwowe 39 milionów koron.

**Przyjmuje wkładki w rachunku bieżącym i na książeczki wkładowe.**

Podatek rentowy opłaca bank z własnych funduszy. Kupno i sprzedaż papierów wartościowych, walut i dewiz. Udziela pożyczek wekslowych i na zastaw papierów. Przyjmuje walory w przechowanie. Wypłaca kupony i wylosowane efekta. Przyjmuje wszelkie zlecenia giełdowe.

MAURYCY LEBLANC.

## WYDRAŻONA IGŁA.

Tajemnicze przygody Arseniusza Lupina.

I.

WYSTRZAŁ.

Elżbieta nadstawiała uszu. I znowu w ciszy nocnej doleciał ją szmer, lecz tak lekki i słaby, iż nie mogła poznać, czy pochodzi zbliska czy zdaleka, czy rozlega się w murach zamku, czy też szumi w ciemnych szpalerach parku. Ostrożnie podniosła się i otworzyła szeroko przymknięte okno. Blask księżyca oświecał słabo kłoby i trawniki, wśród których ciemniały jak groźne pomniki, zwaliska starego opactwa, arkady, kolumny, nawy i portyki. I nagle ten sam szmer... Słychać go było z lewej strony pod nią, a więc w salonach, w zachodnim skrzydle zamku. Mimo, iż była odważną i silną, przejął ją lęk. Zarzuciła na siebie pospiesznie peniuar i wzięła zapalki.

— Elżuniu... Elżuniu...

Jakiś słaby jak tchnienie głos, wołał ją z sąsiedniego pokoju, w którym drzwi były otwarte. Skierowała się w tamtą stronę poomacku, gdy nagle kuzynka jej Zuzanna wyszła z tego pokoju i ujęła ją za ręce.

— Elżuniu... to ty?... Słyszałaś?...

— Tak... to ty nie śpisz?

— Zdaje mi się, iż pies mnie obudził... już dawno... Teraz już nie szczeka. Która godzina może być?

— Około czwartej.

— Słuchaj... Ktoś chodzi po salonie, z wszelką pewnością.

— Niema żadnego niebezpieczeństwa, przecież twój ojciec, Zuzanno, tam jest.

— Ale może jemu grozi jakie niebezpieczeństwo? Sypia obok małego salonu.

— Pan Daval jest tam także...

— W drugim końcu zamku... Jakże on może usłyszeć?

Wahały się, nie wiedząc na co zdecydować się. Krzyczeć? Wołać na pomoc? Nie śmiały, bojąc się nawet dźwięku własnego głosu. Lecz Zuzannie, która tymczasem zbliżyła się do okna, wyrwał się okrzyk:

— Patrz... jakiś człowiek koło basenu...

Istotnie jakiś mężczyzna oddalał się szybko. Pod ręką niósł przedmiot dość znacznych rozmiarów, który mu nieco przeszkadzał. Widziały, jak minął starą kaplicę i skierował się do małych drzwi, ukrytych w murze. Drzwi te musiały być otwarte, gdyż mężczyzna ów znikł w nich nagle, nie wywołując wcale zwykłego skrzypu zawias.

— On szedł z salonu — szepnęła Zuzanna.

— Nie, idąc przez schody i westibul, musiałby się znaleźć więcej na lewo... Chyba, że...

Jedna myśl je przeniknęła. Wyrzwały przez okno i zobaczyły opartą o pierwsze piętro drabinę. Drugi mężczyzna, który również coś niósł, schodził właśnie z kamiennego balkonu po drabinie i uciekł tą samą drogą.

Przestraszona Zuzanna opadła prawie bez sił na ziemię, szepcząc:

— Zawołajmy... zawołajmy na pomoc...

— Kto przyjdzie? Twój ojciec... A jeżeli tam są jeszcze inni ludzie... i rzucają się na niego?...

— Wtedy... wtedy można wezwać służbę... twój dzwonek połączony jest z ich mieszkaniem.

— Tak... tak... może to będzie dobre... Oby tylko przybyli w porę!

Elżbieta natrafiła po ciemku na dzwonek elektryczny, znajdujący się koło jej łóżka i nacisnęła guzik. Zabrział metaliczny dźwięk, tak ostry, iż zdało im się, że musiał on rozlegać się we wszystkich salonach. Czekwały. Milczenie stawało się coraz straszniejsze, gdyż nawet wiatr, poruszający liśćmi drzew, przestał szmerzeć.

— Boję się... boję się... — powtarzała Zuzanna.

I nagle pod niemi, w głębokiej ciszy nocnej, powstał odgłos jakiejś walki, hałas przewracanych mebli, urywane słowa, krzyk, potem przerażające gardłowe jęczenie, jakby charkot duszonego człowieka. Elżbieta skoczyła ku drzwiom. Zuzanna uczepliła się rozpaczliwie jej ramienia.

— Nie... nie... nie pozostawiaj mnie... boję się...

Elżbieta odepchnęła ją i wybiegła na korytarz, a zaraz za nią podażyła i Zuzanna, czepiając się murów i krzycząc przeraźliwie. Dopadła schodów i staczając się prawie po stopniach, wpadła do wielkiego salonu, gdzie jak wmurowana zatrzymała się na progu, mając przy sobie omdlewającą z przestachu Zuzannę. Na trzy kroki przed nią stał jakiś mężczyzna z latarnią w ręku. Jednym ruchem skierował ją na młode dziewczęta, oslepiając je światłem, spojrzał na ich blade twarze i bez najmniejszego pospiechu, zupełnie wolno włożył czapkę, podniósł skrawek papieru i dwa kawałki słomy, stął ślady z dywanu, zbliżył się do balkonu, poczem skłonił się im głęboko i znikł.

Zuzanna pierwsza pobiegła do małego buduaru, oddzielającego wielki salon od pokoju jej ojca. Przy wejściu obezwładnił ją przeraźliwy widok. Przy świetle księżyca spostrzegła na podłodze dwa nieruchome ciała, leżące obok siebie. Pochyliła się nad jednym.

— Ojciec!... Ojciec!... To ty?... Co ci się stało?... — zawołała z rozpaczą.

Po chwili hrabia de Gesvres poruszył się i rzekł słabym głosem:

— Nie bój się... nie jestem raniony... A Daval! Czy żyje! Nóż... nóż?...

Jednocześnie nadbiegło dwóch służących ze świecami. Elżbieta przykłękała przy drugiej osobie i poznała w niej Jana Davala, sekretarza i zaufanego hrabiego. Na twarzy jego malowała się już śmiertelna bladeść. Był to już trup. Podniosła się i szybko wróciwszy do salonu, pochwyliła ze ściany strzelbę, o której wiedziała, że jest nabita i wybiegła z nią na balkon. Nie upłynęła jeszcze minuta od chwili, gdy nieznamy znikł na drabinie. Nie mógł on być daleko, zwłaszcza iż musiał odstawić drabinę, by nikt z niej nie mógł skorzystać. W istocie dojrzała go, jak mijał zwaliska starego klasztoru. Wymierzyła w niego i strzeliła. Człowiek ten upadł.

— Doskonale! zawołał jeden ze służących, tego mamy. Biegnę tam.

— Nie, Wiktorze, on się podnosi... proszę iść po schodach do małych drzwiczek. On tylko tamtędy może uciec.

Wiktor spieszył się, lecz zanim znalazł się w parku, mężczyzna ten upadł znowu. Elżbieta zawołała drugiego służącego.

— Czy Albert widzi go tam? przy wielkiej arkadzie?

— Tak... czołga się po trawie... nie już z niego nie będzie...

— Proszę stąd uważać na niego.

— Nie ma on już możliwości do ucieczki. Na prawo ruiny, otwarty trawnik...

— A Wiktor pilnuje drzwi na lewo — dodała, biorąc ponownie strzelbę.

— Ale panienka tam nie pójdzie?

— Owszem! — rzekła stanowczo — pozostał mi jeszcze jeden nabój... Jeżeli się ruszy...

Wyszła. W chwilę potem Albert widział, jak skierowała się do murów. Zawołał więc do niej z okna:

— Zaczłgał się za arkadę. Już go nie widzę... proszę uważać...

Elżbieta okrążyła stary klasztor, by przeciąć drogę uciekającemu i wkrótce Albert stracił ją z oczu. Nie widząc jej przez kilka minut, zaniepokoił się i bacząc ciągle na ruiny, postanowił spuścić się na dół po drabinie. Gdy mu się to udało, pobiegł wprzód do arkady, przy której człowiek ten ukazał się po raz ostatni. O trzydzieści kroków dalej znalazł Elżbietę, która razem z Wiktorem szukała w zwaliskach.

— I co? zapytał.

— Nie można go schwycić — odpowiedział Wiktor.

— A małe drzwi?

— Idę stamtąd... oto klucz.

— On musi tu być jednak...

— Oh! sprawa jego skończona... Za dziesięć minut bandyta będzie w naszych rękach.

Obudzony wystrzałem strzelby, nadbiegł także fermer z synem, którego zagroda wznosiła się dość daleko co prawda, ale w obrębie jeszcze zamku; nie spotkali jednak nikogo.

— Do licha! — zawołał Albert — opryszek ten nie mógł opuścić murów... Wykurzymy go z jakiejś jamy.

Zorganizowali prawidłową obławę, przeszukując każdy krzak, zaglądając w gąszczu bluszczu, który wielkimi masami piał się dokoła kolumn. Przekonano się, że kaplica jest zamknięta i wszystkie witraże całe. Znowu obeszli klasztor i przepatrzyli wszelkie zakątki. Poszukiwania były jednak daremne.

Uczyniono jedno tylko odkrycie: w miejscu, gdzie człowiek ten padł rażony kulą Elżbiety, znaleziono czapkę szofera z miękkiej skóry. Poza tem nic więcej.

O szóstej godzinie rano zawiadomiono żandarmeryę w Ouveille la-Riviera, która udała się na miejsce przestępstwa i natychmiast wysłała do prokuratury w Dieppe notę o okolicznościach zbrodni, o rychłym przypuszczalnie schwytaniu winowajcy, znalezieniu jego czapki i sztyletu, którym dokonał zamachu. O dziesiątej godzinie dwa wynajęte powozy zatrzymały się przed zamkiem. W jednym znajdował się zastępca prokuratora i sędzia śledczy ze swym pisarzem, w drugim siedziało dwóch młodych reporterów, przedstawiciel *Dziennika Roueńskiego* i jakiejś wielkiej gazety paryskiej. Przez chwilę przypatrywali się zamkowi. Dawne opactwo zburzone w czasie rewolucji, zostało odrestaurowane przez hrabiego de Gesvres, do którego należy już do lat dwudziestu. Składa się ono z głównego budynku, zakończonego wieżyczką z zegarem i z dwóch skrzydeł, otoczonych kamienną balustradą. W nim mieszka